

Panie, jak oni mnie wszyscy męczą. Jak męczą mnie ci, których mi dałeś za braci.

Moi bracia... Czasem wcale nie są zabawni. A w dodatku, przede wszystkim, są inni. I to jest najgorsze.

Inni, wszyscy są inni, każdy z nich narzuca mi coś szczególnego, co mnie krępuje, deprymuje lub rani.

Każdy z nich zmusza mnie, żebym coś uznał.

A wcale niełatwo jest uznać, że inni istnieją inaczej...

Każdy z nich zmusza mnie, żebym coś zrozumiał. Nie zawsze mam na to ochotę, Panie. To męczące.

Każdy z nich mnie zmusza, żebym coś polubił. Żebym to przyjął takie, jakie jest. Nawet jeśli ja uważam, że to trudne, denerwujące, dziwaczne.

Jakie to męczące, Panie, kochać swoich braci.

Tak bardzo mam czasem ochotę zamknąć się w wąskim kręgu małej grupy przyjaciół, których świetnie rozumiem, tak dobrze znam, których obecność rodzi zawsze takie samo miłe ciepło, taki sam bezpieczny — miałem powiedzieć: komfortowy — spokój.

Ale wszyscy inni, Panie! Ileż mnie kosztuje, żeby z nimi przestawać.

Panie, obym się nigdy nie zamykał na innych. Obym nigdy nie mówił: „Nie rozumiem was”, nie odwracał się na pięcie i odchodził do mojego uporządkowanego świata, w którym nie ma dla nich miejsca.

Żebym nigdy nie przypinał im etykietek jak karteczek z objaśnieniami w muzeum: „Ten to jest taki”. Żebym ich nie klasyfikował.

Pomóż mi raczej odnaleźć w twarzy każdego z nich zatarte rysy dziecka, którym był.

Dopiero wtedy, Panie, „zrozumiem”.